

УСТАНОВА ДРУЖБИ ЖЕШУВ-ЛВІВ
КОМІТЕТ АКСМУ ПРОФКОМ СТУДЕНТІВ КЛУБ ЛВІВСЬКОГО ПОЛІТЕХНІЧНОГО ІНСТИТУТУ
ЗРІСНЕННЯ СТУДЕНТІВ ПОЛСКИХ АБК: СІ „АЛМА-АРТ” В РІСІЗОВІ
СПОТКАНІЕ ПРИЯЗНІ РІСІЗОВ-ЛВІВ
МІЛОДА ПОЛСКА
TRIO HARMONIZKOWE
ONE MILLION BULGARIANS
SAGITTARIUS
KLUB „КАФЕ „ПОЛІТЕХНІК” ДАТА

Jakie inna jest ta publiczność od znuzonych bywalców „Hybryd” czy „Rivierzy”!
 Koncert wchodzi w ostatnią fazę. Tomek Paulukiewicz anonsuje: „Jeden...”, a sala dopowiada — „... Million Bulgarów”. Kapela jest tu znana. Każdy numer (w większości z nowego programu) fani witają frenetycznym aplauzem. Ku swemu zdumieniu „Bulgarzy” słyszą okrzyki z widowni domagające się „Czerwonych krzaków” i „Zwledzy palnoci”. Zyczeniem tym natychmiast staje się zadość.
 Około 23.00 milną kolumny. Koniec koncertu. Muzycy są oszołomieni. Publiczność niechętnie opuszcza klub. Każdy chce jeszcze chwilę pobyc z nami, pogadać. Wiele takich serdecznych rozmów zaczętych po rosyjsku szybko przechodzi na polsko-ukraiński volapük. Ktoś mówi: „Proszu po polski howorit. Ja wszystko rozumiem, słucham programu III, Marek Niedźwiedzki, Przemek Mroczek i Pan Mann”.

stawicelka obwodowego komitetu Komsomotu — Marta. Marta jest poważna, ma błękitne oczy, francuski warkoczyk i taakie nogi (!). Choć mówi znakomicie po polsku nie może zrozumieć przestania utworu Miliona Bulgarów „Czerwone krzaki”. Odnoszę wrażenie, że trochę ją to niepokoi...
 Koncert i tutaj wyzwala ogromne emocje. Bardzo podoba się Sagittarius, a zwłaszcza jego wokalistka Ela Koralewicz. Gdy — fotografując — na moment zasłaniam ją widowni, natychmiast zostaję przywołany do porządku kawalkiem krzesła. Po chwili skoczne nuty „Bulgarów” podrywają w górę liczne marynary i szaliki. Organizatorzy patrzą z lękiem na las rąk z płonącymi zapalnikami i strzępami gazet.
 Po występie kolejne rozmowy z fanami, którzy często-gęsto sami muzykują w warunkach garażowych. Mówią, że we Lwowie i okolicach działa setka takich formacji. Wiele z nich wydaje

matrone nagrane kasety oraz fanziny z tekstami. Niemal wszystkie borykają się z ogromnymi kłopotami lokalowymi i sprzętowymi. Rokmienny wszech stron — niktowas nie lubit.
 Sobota. Ostatni koncert. Obszerna hall domu kultury „Elektron” pęka w szwach. Sporo osób nie ma biletów. Porządkowi są jednak wyrozumiali i na naszą prośbę wpuszczają wszystkich. Wśród takich specjalnych gości znajdują się m.in. muzycy z lwowskich formacji „Apteka” (!) i „Mołoko R.”, fani z Kijowa, Tallina, Rygi. Radzieccy wielbiciel rocka dopytują się o najnowsze płyty Wojtka Wągwieskiego, Lecha Janerki i Tadeusza Nalepy. Zainteresowanie budzą też grupy Turbo i TSA.
 Koncert przebiega w nader gorącej atmosferze. Na widowni zwraca uwagę zaprzyjany z nami polonus Andrzej Sienkiewicz odziany w koszulkę z emblematem moskiewskiej „Prawdy”. Występ rzeszowskich kapel jest tym

razem nieco krótszy ze względu na mającą odbyć się w tej samej sali akademii dla żołnierzy Armii Czerwonej.
 Niedziela jest dniem zwiedzania Lwowa. Urzeka nas uroda tego miasta, wzruszają nazwy niektórych ulic. Goście w ewiekowanych skórkach składają wiązanki białoczerwonych goździków m.in. przy mogiłach Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej, przy pomnikach kapitana Ordona i Romualda Traugutta. Jest czas na chwilę zadumy...
 Wieczorem znów spotkania. Dużo, bardzo dużo niezwykle serdecznych i otwartych rozmów. Młodzi Ukraińcy imponują wiedzą na temat współczesnej Polski. Ze wstydem łapiemy się na tym, że wiedzy tej nie możemy odwzajemnić. Daje znać o sobie narodowa ksenofobia, stereotypy i nonszalancja, z jaką traktujemy często sprawy sąsiadów. A żal. Nocne rockmenów rozmowy sprowadzają się bowiem do konkluzji, że po obu stronach granicy młodzi nie preferują sztywnych form „umacniania przyjaźni”.

nas niespodzianki. W salonie „Melodii” np. leżą spokojnie na półkach licencyjne krążki Dire Straits, Jethro Tull, Beatlesów, Stefana Grapellego, Donny Summer i wiele innych. Nasze barwy reprezentuje Aya EL i Tomasz Stańko.
 Sklep ze sprzętem radiowo-odtwarzającym wypełniony pod sufity towarami, w tym wyrafinowanymi zestawami wieżowymi. W kasie króluje pokaźne drewniane liczydło...
 Nieuchronnie zbliża się pożegnanie. Choć rockmeni to chłopcy twarde i nieskore do wzruszeń, długo, dziwnie długo ścisają ręce Jury i Romki. A i gospodarzom nie spieszy się do wysiadania z oklejonego plakatami autosana. Wszyscy mają świadomość, że w ciągu tych pięciu dni stało się coś ważnego dla 23 Polaków i kilkuset Ukraińców. Bardzo możliwe, iż po tej eskapadzie wkrótce nastąpią kolejne. W obie strony.
 Gdzieś pomiędzy Medyką a Radymnem ktoś wyciąga mapę samochodową. W ciszy sennego autobusu zwykle stwierdzenie faktu brzmi jak okrzyk: „Słuchajcie, przecież byliśmy tylko osiemdziesiąt kilometrów od granicy.” Tak blisko?
 PS. Ira, Liba, Marta, Jura, Jan, Romka, Taras — Dziękujemy!
 Fot. AUTORA

STANDAR MŁODYCH 15-12 IV 88 JERZY LINDER

ROKMIENY WSIECH STRAN...

Zaczęło się jak u Bulhakowa. Na przejściu granicznym w Medyce zapragnęliśmy zniecka gorącej herbaty. Pani zawiadująca bufetem, poproszona o ów wyszukany trunek — natychmiast obraziła się i zagroziła... wpisanie parafy do paszportu. Skruszeni, zakupiliśmy paczkę wiekowych biszoptów, reprezentujących samotnie wyroby krajowego przemysłu spożywczego na tej wysuniętej placówce.

Przejechałszy jakieś pięćset metrów i przesuńawszy zegarki o dwie godziny do przodu, znaleźliśmy się w kraju, „dzie bufetowe mają może niej władzy, za to bufety są lepiej zaopatrzone.”
 Taki był próg wielkiej przygody rockmenów spod znaku Sagittarius, Miliona Bulgarów i Tria Harmonijkowego, którzy dzięki operatywności Akademickiego Biura Kultury i Sztuki „Alma Art” w Rzeszowie zostali zaproszeni na koncerty przez organizację Komsomolu Politechniki Lwowskiej. Wyjazd pomyślano jako pierwszy etap wymiany kulturalnej między młodzieżowymi środowiskami twórczymi obu miast. Powagę sytuacji podkreślała obecność dyrektora rzeszowskiego „Alma Artu” Janusza Baryckiego czuwającego niczym „Papa Smurf” nad rozdokazywanym stadkiem muzyków.”

waniu oraz kąpieli po półdobowej podróży nie ma co marzyć. Sztuka wymaga ofiary.
 Wysłany na rozpoznanie terenu popularny rzeszowski technik sceny Adaś Paškowski ma ponurą minę. Klub wielkości „Remontu” mieści się na trzecim piętrze „Kombinata Pytania” — wielkiego zespołu stolówek. Nasze graty, czyli paczki, „piece” i instrumenty ważą jakieś półtorej tony... Nie znamy jednak tu tejszych obyczajów. W ciągu kilku minut zgłasza się do pomocy kilkanaście osób z ośbługi klubu, która we Lwowie nie ogranicza się do blokowania bramki. Najwyższej jak to jest możliwe, cały sprzęt ładuje we właściwym miejscu. Widać, że im zależy na koncercie tak samo jak nam, chociaż...
 Jura zapytany o reklamę imprezy zapewnia gorliwie, że „kanieszno była”. Na mieście nie ma jednak ani jednego plakatu ze 150, jakie „Alma Art” wysłał tu wcześniej. Na drzwiach budynku mieszczącego klub pojawia się natomiast ogłoszenie: „Towarzysze, którzy kupili bilety na koncert zespołu (wokalnoinstrumentalnych ansambli) z Rzeszowa proszeni są o zgłoszenie się w biurze Komsomolu w związku ze zmianami w programie”. Prosimy o wyjaśnienia. Okazuje się, że w ostatniej

chwili władze uczelni cofnęły zgodę na trzy z sześciu zapowiadanych koncertów. Pozostałe mogą się odbyć pod warunkiem, że nie zgromadzą publiczności przekraczającej 200 osób.
 Zbliża się 20.30. Opóźnienie wynosi już 1,5 godziny. Wchodzi publiczność. Nie, to nie tak. Ona szturmuje, wlewa się, spada na salę jak lawina. Nie wiem, jak to się stało, ale fanów jest znacznie więcej ponad ustalony limit.
 Zaczyna Trio Harmonijkowe. Przyjęcie ciepłe, a po „Corinnie” i wiązance melodii westernowych — wręcz owacyjnie. W zaimprovizowanej garderobie poruszenie. Muzycy palą się do grania. Na scenę wychodzą ludzie z Sagittarius. Nie miałem dotąd najlepszego zdania o tej kapeli, lecz teraz muszę je skorygować. Grają dynamicznie, z determinacją. Ich muzyka brzmi świeżo, a porywające solówki gitarowe Andrzeja Paprota i Roberta Lubery doprowadzają publiczność do ekstazy. Ktoś na widowni po zagrożonej w mroku zapala zapalniczkę i wnet pojawiają się kolejne ogniki zapalniczek i płonących zwitków papieru. Ludzie falują, grupka siedzących bliżej zaczyna dziki taniec na poscenium. Kilku działaczy usiłuje zaprowadzić ład i porządek — bez powodzenia.

Wreszcie jedziemy na nocleg. Organizatorzy umieścili naszą załogę w jednym z wielu ogromnych akademików przy ul. Gajdara (tego od „Timura i jego drużyny”). Tutaj dwie niespodzianki: na naszym IX piętrze nie ma światła (górną śpiochyl), za to woda jest w suterenie. Zażywszy kąpieli, wbrew wszelkim przeciwnościom, wraz z grupką wytrwałych kolegów udaje się na nocne „ukreplanie drużby”, podczas którego pogłębiam wiedzę o stosunkach wodnych we Lwowie i okolicy. Okazało się, że liczące 800 tys. mieszkańców miasto od lat cierpi na znaczny deficyt H₂O, w związku z czym plyn ten pojawia się w kranach na krótko tylko w godzinach rannych i wieczornych.

Przed nami kilka godzin czasu wolnego, bowiem koncert w Akademii Rolniczej w Dublanach dopiero o 19.00. Jura i Romka wypytują o zasady pracy „Alma Artu”. Gdy przychodzi do spraw finansowych, a zwłaszcza gdy pada ohydne słowo „zysk” — naszym uroczym gospodarzom miny nieco się wydłużają. Komsomolcom trudno zrozumieć także i to wszystko, co wiąże się z promocją koncertów: tzw. szeroka informacja prasowa, plakaty, komunikaty radiowe informujące o imprezach rockowych, jawią się we Lwowie jako pełna egzotyka. Większość miejscowych fanów dowiedziała się o występach naszych kapel z „Trójką” i „Rifów i fuzów”.
 Akademia Rolnicza w Dublanach. W garderobie czeka towarzysząca nam już na poprzednim koncercie przed-

